

# Angielski sen – 9

2 października 2018

Zanim wpłynie wypłata, dwa dni wcześniej dostajemy mailem payspily, czyli takie paski wypłaty, na których jest ilość przepracowanych godzin w tygodniu rozliczeniowym, podatki i oczywiście stawka godzinowa i łączna kwota. Kontraktowi dostają je we wtorki, a agencyjni w każdy środowy wieczór. Mail z payslipem dawał pewność, że pieniądze wpłyną i w jakiej kwocie.



W poprzednią środę nie dostałem powiadomienia. Do późnego wieczora sprawdzałem swoją pocztę. I nic. Spodziewałem się wypłaty za te dwie noce przepracowane po urlopie – to jakieś 120 funtów. Trochę zaniepokojony zacząłem rozpytywać znajomych czy oni dostali. Większość tak, chociaż nie wszyscy, ale uspokoili mnie, że wprawdzie rzadko, ale niekiedy zdarza się, że payslip nie przychodzi, a kasa i tak w piątek wpływa. Trudno – pomyślałem – i czekałem cierpliwie do piątku. Pieniędzy jednak nie było. Sytuację tę opisałem w poprzednim odcinku. Historia powtórzyła się w ostatnią środę. Znowu rozpytywałem wszystkich, jak to jest z tymi mailami i czy oni dostali? Okazało się, że nikt z agencyjnych nie dostał, a kontraktowi dostali z jednodniowym opóźnieniem – czyli właśnie we środę.

Tym razem jednak niepokój pozostał. Postanowiłem znowu pojechać do agencji i tym razem nie dać się zbyć. Zakończyłem shift o 6.00 rano, dwie godziny się przespałem, a kilka minut po jedenastej podjechaliśmy z kolegą do firmy. Oprócz panienki za biurkiem był także agencyjny manager. W nienaturalnie uprzejmy sposób zaczęli przeproszać i znowu gadać o awarii systemu, dopytywałem o szczegóły, a oni coś czarowali. W trakcie naszej rozmowy telefon zasygnalizował mi nową wiadomość w skrzynce. Spojrzałem – payslip, trochę zły, że zarwałem sen i jechałem taki kawał, rzuciłem okiem żeby sprawdzić czy wszystko się zgadza. Brakowało pieniędzy za te dwie przepracowane nocki – czyli brakowało poprzedniej wypłaty. Dostałem 280 funtów, a mam zaległość za mieszkanie i muszę oddać pieniądze, które pożyczyłem tydzień wcześniej. To łącznie 310 funtów szterlingów. Brakuje jak cholera, nie odpuszczę – pomyślałem i zacząłem głośniejsze dopominać o kasę. Manager uprzejmie podsunął mi krzesło, odpalił komputer i zaczął przeglądać jakieś rubryki. Po chwili zapewnił mnie, że wyrównanie będzie w kolejnym tygodniu, że jest mu przykro i znowu usłyszałem „dont łory”.

To „dont łory” zadziało na mnie jak płachta na byka. Dokładnie tak tydzień wcześniej zbyła mnie ta panienka z agencji. Krzyknąłem już do niego, że pieniądze mają być teraz – „now”. Jego uśmiechnięta i miła twarz, przybrała purpurowy kolor, znikła sympatyczna mina, a w jej miejscu pojawił się arogancki uśmiech i cyniczny wzrok. Powiedział, że wiedzą kim jestem, wiedzą co robię, znają moje teksty, czytają je od dawna, a firma zleciła mu przeprowadzenie ze mną rozmowy dyscyplinującej i ukaranie naganą. Ale, że on odpuścił, bo on jest „cool”. Wróciłem do domu z niczym. To znaczy jedynie z payslipem wypłaty za jeden tydzień.

Zanim wszedłem wieczorem do mojej hali, odbębnić ośmiogodzinny shift, zawołał mnie główny szef nocnej zmiany – Dave. Poszliśmy do jego biura. Tam czekał już Alistair, ktoś jeszcze ważniejszy. Mleko się rozlało – pomyślałem i czekałem, kiedy

wreszcie powiedzą, że wylatuję z roboty.

W nienaturalnie uprzejmy sposób wypytywali po co i dla kogo piszę, co mnie interesuje itp. Zapewniłem, że ich firma, konkretnie nazwa ich firmy jest na ostatnim miejscu moich zainteresowań, a w zasadzie w ogóle mnie nie obchodzi. Jestem zwykłym ekonomicznym imigrantem, który zaczyna na Wyspie życie od zera i jedynie to chcę opisać. Powiedziałem, że ich firma jest mi potrzebna tak jak im klinier: ważne żeby był i sprzątał, a nie ważne jak się nazywa i kto nim jest. Zapytali czy mogę się zobowiązać, że już nigdy o tym miejscu nie napiszę. Kiwnąłem głową i przystałem na ich warunki. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, poprosili bym wrócić do pracy. Zawarliśmy umowę – ja nie piszę o firmie, a oni pozwalają mi pracować. Trochę to utrudnia pisanie cyklu, ale istotą jest człowiek na obczyźnie, nie zaś firma o nazwie ABC, czy XYZ.

Wiedziałem jednak że moje dni w tej pracy są już policzone. Byli zbyt uprzejmi. Sądziłem, że chcą wywalić mnie w białych rękawiczkach, znaleźć pretekst. Bardzo ciężko przetrwałem swoją zmianę. Było mi potwornie zimno, zasypiałem na stojąco i z ledwością ogarnąłem swój rewir. Pomimo tego, nie przedłużałem przerw i rzetelnie wykonywałem swoje obowiązki. Nie chciałem dać im żadnego, najmniejszego merytorycznego powodu do zwolnienia. Pchałem więc wózki ze śmieciami i zamiatałem nieprzytomny z niedospania. Byłem wcześniej w agencji i po ostatniej zmianie spałem jedynie dwie godziny. Trochę jednak spokojniejszy, że przynajmniej przez jakiś czas będę mógł zarabiać kasę i obserwować otoczenie z pozycji niewidzialnego kliniera, wróciłem do domu.

Pieniądze przyszły w piątek. Nie udało mi się opłacić w całości długu za pokój. Zapłaciłem za jeden tydzień i poddawałem część długów.

Zostało mi trzydzieści funtów – trzy dychy na tydzień. Trudno, pomyślałem, ale miałem nadzieję, że w kolejny piątek zapłacą mi wreszcie tę zaległość. To by wreszcie wyprostowało moja

sytuację.

Każdy pracownik ma swoją imienną, kartę magnetyczną do otwierania wejść i bramek zakładu. Zdziwiłem się, gdy w ten piątkowy wieczór karta nie zadziałała. To znaczy nie otworzyła bramki. Do holu wpuścił mnie pracownik ochrony i kazał poczekać. Po chwili przyszedł jeden z managerów – Pete. Zawstydzony powiedział mi, że agencja anulowała mój kontrakt i zostałem zwolniony. Powiedział też że jest mu przykro, bo byłem bardzo dobrym pracownikiem i firma nie miała do mnie żadnych zastrzeżeń. Nie mają jednak wpływu na politykę agencji. Był zażenowany – zwyczajnie kłamał.

Chcąc nie chcąc wróciłem do domu.

To ostatni odcinek „Angielskiego snu”, ale cykl „Listy z Wysp” będzie kontynuowany.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: [Trybuna.info](http://Trybuna.info)